

ANTONI JEONIMSKI

GODZINA POEZJI



IGNIS

Godzina Poezji



ANTONI SŁONIMSKI

TEGOŻ AUTORA:

SONETY, 1918 (wyczerpane)

HARMONJA — wieniec sonetów, 1919 (wyczerpane)

PARADA — poezje, 1920 (wyczerpane)

TEATR W WIĘZIENIU — powieść, 1922

Godzina Poezji

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 58587



BGZs 58587

SKŁADY GŁÓWNE: — Lwów: H. Altenberg
Łódź: Ludwik Fiszer — Poznań: Fiszer i Majewski
Wilno: Stowarzyszenie Nauczycielstwa Polskiego
Kraków: S. A. Krzyżanowski

WARSZAWA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „IGNIS” SP. AKC.

Okladkę rysował Tadeusz Gronowski.

Odbito 3.200 egz. na papierze

zwyczajnym w drukarni

„Rola” J. Buriana.

w Warszawie

1923



2367



58587

884-1

Inwokacja

Jeśli Cię Michał Anioł porównał do słońca,
A siebie do blednącej upodobił luno,
Jeśli Cię boski Ronsard wysławiał bez końca,
Niemordowaną ręką w złote bijąc struny,

Jeśli Cię już nazwano słońcem, różą wonną
Jeśli Cię porównano do dzwiczącej lutni,
Ja dla Ciebie, o Marjo-Wiktorjo Colonno,
Sięgnę wyżej i nazwę Cię smutniej!

Tyś jest jak miasto wielkie, czarne i krzykliwe,
Gdzie się sto czartów śmieje — płacze sto
aniołów,

Oczy Twe są ogromne, czyste i żarliwe,
Jak dwie wieże podniebne strzelistych kościo-
łów.

Nie obejmę Cię wielkiej, a jako cień lotnej,
Choćbym rozpiął ramiona i natężył siły,
I pragnę — wciąż samotny, Ciebie — wciąż sa-
motnej,
Ciebie, lutni mej, róży, gwiazdy i mogiły.

Godzina poezji

Przez czarne szpary drzwi ruchomy błysk
 prześwieca,
Trzepoczesz się o drzwi jak ptak zbudzony
 w klatce,

Łomotem rąk bez sił — lęk dusi cię, podnieca,
I szelest bosych nóg na zimnej łka posadzce.

Zamknięte wszystkie drzwi. — O, nie wchodź tutaj luba!

W komnatę gości tłum natrętnie mi się wciska.
Czy słyszysz miedzi dzwon? To upadł miecz
cheruba.

To zegar bije zgon. To północ dzwoni bliska.

Pod oknem dziki chwast rozrosły w bujne
drzewa

Do ziemi kłoni wiatr, aż jęczy i przykłęka,
Zamiata ziemię nim i świszczcze w nim i śpiewa,
Aż badył suchy trząsł i lepko, miękko pęka.

Łańcuchów rdzawy pęk rozłazi się w ogniwa,
I słony zapach krwi z pod oszalałej tarczy,

Z zegara bije krew — napięte jak cięciwa,
Z sufitu zrzuca tynk — wahadło w pędzie
warczy.

Ze sztywnych pada rąk, z paznokci posinia-
łych,
Iskra, co goni puls — wstrzymuje serce — mie-
sza —

Ściska je — bierze w dłoń i męczy w snach
omdlałych.

Podnosi je pod strop i cicho je zawiesza.

I coraz dłuższych fal świetlista płonie krata,
Krew, oddech, tętno, puls—owija zatrzymuje,
Ucisza miękko je i tłumi je jak wata,
I dzwonu męski rdzeń jak igła senna kłuje.

Pod baldachimem kir, piersiowym zwarcu wirem,
W pościeli czarnej krwi padają kochankowie,
Pijana blada noc opada eliksirem,
Co wije się jak wąż na białe ich wezgłowie.

Wśród muślinowych sal świecących się a giorno
Zamiera w tańcu tłum, jak krwi zakrzepła
plama,

W podskokach bladych nóg zastyga panorama
W szarozłocisty pył i grozę snu upiorną.

Księżycy bladej sierpi i nocy zwiędłej zapach —
To lunatyczny śpiew, za którym dysząc suną
Maszyny senne w krok na rozkraczonych łapach.

Fruną ze szklanych wież, z blaszanych dachów fruną.

Skrzypiec zwęglony gryf, głos wonny strun
jak smoła
Niech się rozplynie w płacz, w gejzery łez
perliste:

Zagłady dajcie mi ogrody, ciche zioła,
Lub ty mnie, miasto, weź porannych syren
gwizdem.

Chcę dobyć z gardła krzyk — i gardło mam
ściśnione.

I nagle jestem sam: rozbiega się tłum gości.
Powoli suną w mrok maszyny oślepione,
Przestrzeni lotny mróz językiem liże kości.

O, niech się zwali gmach jak ciężki dzwon
żelaza,
Niech się rozplynę w woń przegniłych rudych
liści —

W nozdrza mi bije swąd i skręca mnie odraza.
O, weź do ręki miecz: może mnie śmierć
oczyści.

Są jeszcze pono gdzieś atramentowe chmury,
Urwiska sennych rzek i drzewa jak goździki!
Motyle pokaż mi czerwiejsze od purpury
I wielkie nocne ćmy, co klaszczą jak słowiki.

O, przecież muszą być te marmurowe schody,
Co podbijają krok czystością elastyczną.
O, nachyl ku mnie twarz z oczami jak ogrody:
Ja pojmem wonie snów i mowę stujęczną.

Jeżeli mogę świat zabijać serca tętnem,
Zapłonąć jeden raz, o, pozwól miłosierdzie,
Jutro mnie rankiem zbudź: o, każ mi być na-
miętym,

Płakać nad wonią róż i błogosławić ciernie.

Już się rozpiera noc łokciami różowemi,
Palcem mnie dotknął świt, zmartwychpow-
stała męka.

O, samotności! — wiem: sam jestem na tej
ziemi,
I pośród wszystkich serc jest jedno, co nie
pęka.

Oto już odszedł cień w krainę sennych wcieleń,
I wracasz do mnie znów, podchodzisz poci-
chutku.

Poranka chłodny dreszcz i nieba blada zielen
Zwijają w rulon noc, jak sztandar wieczny
smutku.

Ślady

Za kulisą, na piasku, w wędrownym teatrze,
Nocą, przy blasku świecy zobaczyłem ślad.
I dotąd stoję jeszcze i czekam, i patrzę
Aż sierp złoty księżycą zróżowiał i zbladł.

A później kiedyś nocą, nagle obudzony
Nie we śnie, lecz na jawie, groźnej, oczywistej
Ujrzałem na posadzce czarny, wypalony,
Nadnaturalnie wielki ślad stopy ognistej.

Ktoś stoi tuż nademną gdy zamknę powieki.
A kiedy je otworzę ciemność wkoło pusta.
I boleśnie śnię we śnie, że ten ktoś daleki
Muśnie mi lekko wargi albo zmiażdży usta.

Kiedy pokój z radością i trwogą otwieram,
Wionie pustka drażniąca, gdy się drzwi uchylą.
Serce w piersi omdlewa i wokół spozieram
I czuję, wiem napewno, ktoś tu był przed
chwilą.

Z niejasnych śladów, przeczuć i sennej udręki
Coraz wyraźniej widzę twą przekłątą postać,

Już coraz bliżej zda się, wyciągnięciem ręki
Mógłbym chwycić kraj szaty i do piersi dostać.

Im wyraźniej cię widzę, tem sam jestem bledszy,
Rozwiewam się i niknę boleśnie, jak w snach,
W wonnych smugach powietrza, pachnących
na wietrze
Rośnie miłość i rośnie mój strach.

Aż w obłokach ozonu, na lotnych wyżynach
W ostatnim pocałunku i westchnieniu zamrę,
By nagle groźny, mocny, na złotych wawrzy-
nach
Na piersi twej ostatni rym zapiąć, jak kłamrę.

Muza

W samym środku trawnika, w białym pawi-
lonie,
Grzmiały trąby miedziane i piszczały fletnie,
Lśnił się lakier wolanta i parślały konie,
Gdyś sunęła owiana w białe tiule letnie.

Naprzekór pięknym panom, chwalącym twe
wdzięki,
Ja, mały chłopak z nasuniętą czapką,
Dostałem jak najtkliwsze muśnięcie twej ręki
I czuły podarunek: wielkie słodkie jabłko.

Zostawiłaś mi jabłko, jako Atalanta,
Przystanąłem na drodze cichy i zdziwiony,
Na zakręcie w alei mignął cug wolanta,
Wonne lejce i uśmiech, dała zbłąkitniony.

Dopiero długo potem pojąłem istotny
Sens owego spotkania, o przejezdna damo, —
I jak ty, dzisiaj jestem i chyży i lotny,
I hardych, obcych chłopców dziś lubię tak
samo.

Nauczyłaś mnie chłodnej miłości beztroskiej,
Kaząc kochać dziecinnych ust grymas ponury,
Psów kudłatych wzgardliwe, przypłaszczone
noski
I konie, co się miękko kładą pod batem
tresury.

Dziś myślę, że to muza na złotym rydwanie
Przecięła mi dzieciństwo pachnącym przelo-
tem,
Bo czemu miłość moja, cokolwiek się stanie,
Jako gołąb z nad wody, wraca cichym lotem.

Kocham to, co mi nigdy się nie odwzajemnia
I strzegę, by mój płomień nie spotkał się
z żarem:
Jeno w twoich ramionach goreję jak ciemnia
Rozszarpana wichrami i zżarta pożarem.

Porachunek

Niczem są dla mnie klony i plony, wiązki ga-
łązki akacji,

I chłodne złoto płodnej jesieni.
Wierzajcie! niebo nie miewa racji,
Czy blednie, czy się rumieni!

Znam inne rumieńce i inne bladości,
Nie gnane wiecznych obrotów pośpiechem:
Czemże są fali spienionej miarowe wściekłości
Wobec piersi wznoszonej nierównym odde-
chem?

O nierozumna otchłani, gwałcona przez śruby
drednotów!
Plułem w Śródziemne morze z żaglowca Dolce
Farniente,
A wiatr bezmyślny dmuchał w płótna mych
żagli napięte,
Zależne od wpółnonszalanckich, drobnych mej
ręki obrotów.

Ścichnij wietrze burzliwy, uspokój się morze,
Przez gąszcza parujące od gorąca słońca

Idzie w szatach z ołowiu groza drętwiąca
I w piach suchy wybrzeża białe wbija noże.

Nocą letnią, gorącą, kiedy w każdym domu
Okna były otwarte na pokoje śpiące,
Przez zmęczone ulice niosłem pokryjomu
Moje serce spalone na spieczonej łące.

Odnalazłem je teraz w chłodnym majestacie,
W kryształowej algebrze zamrożonych snów
Czerwone i wilgotne w papierowej szacie:
I bije i pulsuje i krwawi się znów.

Trocheje i daktyle są słodsze nad owoc daktyla,
W fibrach chorej mej krwi amfibrach króluje
i chorej;

Nad lilje przekładam sny Leconte de Lisle'a,
Nad zdroje mi droższe potoki są mowy mej
skorej.

Zali mam wielbić ziemię, głupie podłoże
istnienia,

Nie widząc kwiatów i liści, woń drzewa opie-
wać i kory?

Henryku Heine! jak kwiaty pachnące westch-
nienia

Są tematem godniejszym, niż ich pierwowzory.

Strofy moje są dla was jako uścisk bratni,
Bracia z Grecji, z Wenecji, z ruin waz etrus-
kich. —

Będę taniec na ziemi prowadził ostatni,
Jak z kwiatów, uwiję wieńce z parnasistów
francuskich.

Jeżeli gdzie jesteście, towarzysze nieznani,
Patrzcie, jak dumnie krocę po tym spluga-
wionym świecie:

Od ziemi, nikczemnej matki, nic nie biorę
w dani,

Depczę ją dumnym krokiem, a choć mnie
przygniecie,

Serce me, jak Brutusa sztylet—w pierś ją zrani.

Gorączka

Gdybym się dorwać chciał do płynu,
Tobym go dostał choć ze krwi.
Ale urzekły mnie głębiny
Przemijających dni.

Febro czarna i żółta, febro kolorowa,
Gorączko marynarzy z Sydney i Hong-Kongu,
Szczękająca zębami żołnierzy w pociągu,
O zimnico, malarjo, o hydro stugłowa!

Chłodna zielona woda w blaszanej miednicy,
I krusząca lód, lśniąca, z kruszonem karafka:
Oto jest gryf szerniały, klucz do tajemnicy,
Co mi serce rozdziera, jak ostra agrałka!

Pompo ssąca co serce zamieniasz na śmigło,
Fontanno tryskająca rtęcią w termometrze,
Żyły prująca, czarno-purpurowa igło,
I ty, o płachto, słońcem spalona na wietrze!

Wiele mnie dni już raniło,
Aż zabił mnie pewien dzień, —

I rzekłem do przechodzącej pani:
„Zmień się ze mną, ach zmień!”

Chcę, jak ty, nagiemi ramiony
Dotykać chłodnych marmurowych blatów,
Chcę sobie wsuwać za gors
Wilgotne łodygi kwiatów“.

Trudno mi w blade noce doczekać do rana,
Budzę się dreszczem zdjęty przy tobie — ko-
chance.

O gorączko dzwoniąca zębami po szklance,
Woskowa kukło, zgniłą krwią nalana!

Spać mi jest coraz trudniej
I coraz trudniej się budzić:
Nim się położę, nim wstanę,
Wiele się muszę natrudzić!

Gorączko oczu mętnych ludzi zrozpaczonych,
Szukających kogoś, kto zbłąkał się w tłumie.
Gorączko ruchów, gestów, znaków nieznajo-
mych,

Które trzeba rozumieć, ale się nie umie!

Gorączko panien mdlejących w San-Remo,
Gorące źródło stu stopni Celsjusza,

Biała gorączko wina, czarna anatemo,
Gejzerze tryskający pianą pioropusza!

Gorączko kart oślizgłych, serc czarno-czerwonych,

Gorączko złota górników z Alaski,
Gorączko wszystkich wielkich i wszystkich,
szalonych,

Śmierć zwiastująca, zbrodnie, gwałt i wynalazki!

Wkradnij się, suchą ręką, w dygocące zebra,
Igraj sercem mem śmiało, aż w czarnej żonglerce,

Jako lód z wiosną, z hukiem rozwali się serce,
W milion słońc, gwiazd, promieni z kryształu
i srebra!

Może się w fibrach twoich odrzęsie od kości
Duch, co jest we mnie, jak szkielet podwójny,
Jak kość w gardle mi stoi, bezsenny i czujny,
Że samotny od ludzi, nie znam samotności.

Wiem żeby mnie przyjęła grząska ziemia tłusta

Lepkim iłem wybrzeża w uścisk oniemiały.

Pijany mętłą wodą, blady i spęczniały,
Jak chmury miałbym sine fioletowe usta.

Ale nie każ wybierać pośród rzeczy wielu,
Gdy każda myśl przed okiem mieni się jak
łuska:

O, raczej że mi spłynąć pianą krwi Charuska,
Niż za twoim świecznikiem spoglądać, Hillelu!

Zmieszaj mnie, bij, maligno, rzucaj jak igraszką!
Zło, nieznane nikomu, oto mi dolega.
Jam wahałem zegara, Alfa i Omega,
Wieki przeszłe i przyszłe gniotą mnie pod
czaszką.

Kochanko oszalałych! Drżąca tajemnico!
Wróć mi twoje majaki i senne piękności,
Otul mnie płaszczem dreszczów i okryj mgławicą

Oczy, co widzą dźwięki i słyszą ciemności.

Koło

Przykładając do szyby rozpalone czoło,
Pod Wielką Niedźwiedzicą i pod Wozem
Greckim,

Wstydziłem się o tem mówić, ale jeszcze
dzieckiem

Czułem się zaplątany w wielkie ciemne koło.

Wieczorem, gdy się oczy same do snu kleją,
Widziałem koła, kółka, co maleją, rosną,
Potem giną, snu czarną porwane zawieją,
Zanim mnie miękka szata owina miłosną.

Nie wiedziałem dokładnie, co to mi się snuje,
Marzyłem wielkie wiry i ciemne odmęty, —
A dziś pod moją stopą jakże gorzko czuję
Pęd nieustanny — nieustanne skręty.

Wiruję, kręcę się i wiję śpiesznie,
Bez pamięci i żalu, niewstrzymany niczem,
Jak bąk podcięty trzaskającym biczem,
Zanim zwolnię i padnę, kołysząc się śmiesznie.

O, jakimiż drogami i lądy jakimi
Morza, archipelagi i kraje zwiedziłem,

Ażeby móc się dorwać wymarzonej ziemi
I znów stanąć na miejscu, z którego ruszyłem.

Chwila drobna, jak powiek jeden obieg krótki,
Kończy się, jak wędrówka długa, jednakowo:
Z zachwytu wszedłem w miłość, a z miłości
— w smutki,

I znów mnie własny smutek zachwycił na nowo.

Jeszcze latem pachnącem żegnałem wieczyscie
Późną jesienią z drzewa spadające liście.

Obiegłem myślą naprzód całą drogę ciemną,
Którą wiem, że mi przebyć koniecznie potrzeba,
Nie wiem już, co jest za mną, a co jest przede
mną,

I czy wracam na ziemię, czy też spadam
z nieba.

Jestem jako meteor, który ogniem kreśli
Na wielkich kołach serca kwadraturę myśli.

I jeszcze długo trzeba kręcić się w przestrzeni
I chłodzić żary serca gwiazdzistym obszarem,
Nim wolno runąć ciemnym kamieniem ku
ziemi, —

A biada tym, co spadną z niewygasłym żarem.

Weronika

W małym, zielonym, weneckim hotelu,
Pod beczką, na której siedział amor z żółtej
blachy,
Zaproszony przygodnie, na obcym weselu
Piłem zdrowie i krzykiem zagłuszałem strach.

W sali już podawano na srebrnych talerzach
Kościste morskie ryby, smażone w oliwie,
Gdy zaczęła się owa gonitwa po wieżach,
Po balkonach, piwnicach, nierozumna straszli-
wie.

Tuż za oknami, na mokrych lagunach
Ujrzałem niebo gwiazdami przekręcone nao-
pak;

Panna młoda w welonach biegła, jak w całunach,
Gdy na schodach gaz zgasił kędzierzawy
chłopak.

Cicho i natrętnie w białych szatach dama
Do drzwi mych zapukała i kazała mi iść.

Bez szelestu otwarła się okienna rama,
I pnącego się wina zadygotał liść.

Napróżno się w pokoju złękniiony ukryłem —
Weroniko! twych woalów biała, zimna chusta
Goniła mnie zbyt długo, aż ją poplamilem,
Pokrwawione me nagle przykładając usta.

Twarz moja krwią odbita, na białych ręczni-
kach
Majaczyła w półmroku jak stugłowy pas.
Jeden ślad został tylko na bieli stanika,
Jako serce wyrwane, jak czerwony as.

O przygodo płomienna! o nocy szalona!
Zielone beczki wina rozbiły się w puch!
A potem schła na słońcu moja krew czerwona:
Na balkonach i oknach, wśród brzęczenia much.

Na ustach Weroniki karminowa twarz
Zdawała śmiać się ze mnie białemi zębami,
Kiedy stromą uliczką, chwiejnymi krokami
Szedłem, bity przez gawieź, popychany przez
straż.

Do Irlandji

Morzem łez oddzielona od wielkiej Brytanji,
Irlandjo! Choć dolata twój śpiew o swobodzie,
Ale głuszą go kroki marszowych kompanij,
Idących przez Warszawę, dudniących w pochodzie.

Od płomieni twej dumy i od łez twej klęski,
Co dolata westchnieniem północnych obszarów,
Nie zardzewieje tutaj nagi miecz zwycięski,
I nie schylą się harde głowy sztandarów.

Ale nadejdzie chwila, że komory celne
W wolnym Belfaście stemplem naznaczą swe ślady,

I książęta irlandzcy i pany udzielne
Będą się kłaniać światu przez swe ambasady.

Dzisiaj zmarły, w więziennym zagrzebany
worku,
Kto wie, już może jutro w stołecznym Dublinie

Na złotym sarkofagu burmistrz miasta Corku
Pod sztandarem spać będzie w kadzidlany dymie.

Wtenczas, młoda Irlandjo, po drogach i szosach,

Po ulicach i placach, wśród alej i skwerów,
Odnajdziesz swoje pieśni w zachrypniętych głosach,

W szczęku krótkiej komendy, w krzykach oficerów.

O, poeci irlandzcy! Pieśniarz wolnej ziemi,
Ja oto patrzę na was, jak na dni młodości,
O których się śni często i tęskni za niemi,
Uśmiechając się gorzko i nie bez zazdrości.

Pióra

Nie urodziłem się w bielonym dworze,
W cieniu starych kasztanów i strzelistych to-
pól,

Ani w ciesielskiej izbie, w cienistej komorze,
Gdzie dźwięczy piła i uderza topór.

Przyszedłem na świat w sercu kupieckiej
dzielnicy,
W dwupiętrowym, handlowym domu, pełnym
gwaru,
Fabryka sztucznych kwiatów była od ulicy
Farbowanych piór sztucznych, jakże pełnych
czaru!

Więc czy w pachnącej, białej będę mieszkał
willi,
Nad girlandą róż wonnych przystrojonem mo-
rzem,
Czy też smutny wędrowiec w mglistym Picca-
dilly
Rozcinający książkę palcem zamiast nożem —

Gdziekolwiek pójde, w jaką stronę mglistą —
Czy pod słodkim błękitem, czy pochmurnem
niebem,

Wszędzie odnajdę mą ziemię ojczystą,
Každy chleb będzie mym rodzinnym chlebem.

Wszędzie was znajdę, moje kolorowe pióra,
Dumne kity szyszaków wielkich książąt krwi!
Nie zrodziła mnie ziemia ciężka i ponura,
Alem lekki jak pióro, co na wietrze drży.

Niepotrzebny i sztuczny, mam miliony barw,
Od najbledszych i wiotkich do groźnej pur-
pury.

Kołyszę się wśród lekkich szat miękkich i szarf,
Wykwitam wśród kędziorów, jak ptak groźno-
pióry.

Pieści mnie zefir wonny, wiatr targa okrutny,
Každy się powiew jasno na mym kształcie
znaczy,

Kiedy śpiewam jednako, wesoły i smutny,
Że może tak być, — albo — może być ina-
czej.

Audjencja

Odpocznijcie na chwilę, wszak niema w tem
winy,
Ręce muszą was boleć od rozgrzanych luf.
Odsuńcie, postawcie proszę karabiny,
Nie lękajcie się mężni moich słabych słów.
Słowa nie mają mocy gruchotania kości,
Nie rozpruwają brzuchów, każdy z was pa-
nowie
Może odejść po naszej przygodnej rozmowie.
Pozwólcie tylko skończyć, chwila cierpliwości!
Nie żądam od was żadnych sądów,
Ja wasze sądy znam nawylot,
Lecz kreślę zarys ciemnych lądów,
Rysuję mapę namiętności.
Zwysoka patrząc się jak pilot,
Starego Boga przy okazji
Podjudzam znów do mściwych rządów,
Przynajmniej chcę was widzieć prostych,
Nienawiść lepiej wam pasuje,
Niż sto przesądów o miłości.

Żołnierze! Tysiąc wieków patrzy na was z tej
piramidy,
Patrzy się — i uśmiecha pogodnie, jak France,
Bo czy ubrani w spodnie, w kaski, czy
w chlamidy,
Od stu tysięcy lat wpadacie w jednakowy
trans.
Każdy z was wczoraj, zda się, jadał z ręki,
A gdy mu głośno krzyknąć jedno słowo:
„wróg”,
Idzie tępy ulicą i ryczy piosenki,
Ryczy pieśni do taktu chamskich, ciężkich nóg.
O, machino, idąca twardo krwawem polem,
Znam twe serce ukryte: ten zameczek mały,—
Kołyszysz się jak monstrum, jak gliniany Go-
lem,
Stworzony i zburzony zaklęciem Kabały.
Zali wam trzeba słów smarkacza Bonaparte,
Co pod mostem Arcole, narażając się sam,
Mało warte swe życie położył na kartę,
Aby wrócić z koroną do paryskich bram i do
Tuillerskich alej!
(Od pióropuszków złotych gard
Uśmiech cesarski więcej wart...
Et caetera — i tak dalej).

Odwaga, o panowie, jest albo głupotą,
Lekceważeniem swego i cudzego życia,
Albo też jest zwyczajną i handlową cnotą,
Gdy się śmierć ryzykuje za cenę użycia.
Kazał im Byron iść na Termopile,
To się zebrali i poszli i basta,
Bo jemu słowo to dźwięczało milej,
Niżli rumuńskie lub tureckie miasta.
W domuby żaden się w palec nie zaciął,
A gdy mu jaką wymyślą abstrakcję,
W brzuch wali nożem swych własnych przy-
jaciół

I przekonany jest, że on ma rację.
Minister wojny, cesarz, lub prezydent
Błyskiem energii rozpala to ogromne zwierzę,
Ażeby przeżyć w życiu ten incydent,
Który kiedyś poeta skreślił na papierze.
Powinność, twardy obowiązek,
Żelazny grymas męskiej woli —
Komandorzy orderów, rycerze podwiązek —
Chwileczka. Powoli.
Gdy się popsują interesa
Po nieudanej wojnie,
Nowa ambicja lub metresa
Nie dają żyć spokojnie.

Znam ja to twarde ust zacięcie,
Co nagle mdławo się rozmarzy,
Znam ja ten głupi wyraz twarzy,
Kiedy doktryna całych lat
Raptem wykręca się na pięcie —
Dama królowi krzyczy: „mat“,
I „ust Ninon różany kwiat“
Świat pcha na nowe przedsięwzięcie.
O, gentlemani! macie wiele sprytu,
Umiecie sprzedać i kupować świetnie,
A broniąc manji, legendy i mitu,
Żeb nadstawiacie, aż wam kto odetnie.
Przez tyle lat padaliście w ofierze,
Excusez le mot, byliście mięsem dla armaty,
A dzisiaj, mówmy z sobą szczerze,
Kto czytał całe wersalskie traktaty?
Przez sześć lat męczyć się, wypruwać żyły,
Ażeby plonem tej całej wiktoryi
Było nieszczęście dzieci, co się będą uczyły
Tej aż za bardzo powszechnej historii.
Nie wierzę nawet, że w was drzemie
Zwierzę, co wszystko zwała w gruzy,
Macie poprostu twarde ciemie,
Lecz nie dość twarde dla szlachtuzy.
O, czytelnicy plakatów,

Gapie wężące rozrywkę,
Dałbym wam tysiąc batów
I zamknął jak pozytywkę.
Cavaradossi! Tosca!
Cezar i Calpurnia!
Rozaniela wam dusze primadonna włoska,
Chcecie, by cały świat się patrzył na jednego
durnia.

Niechaj nas każdy zna!
Więc jak aktorzy się pysząc, idziecie krokiem
ze stali:

Lewa, prawa, raz, dwa, raz, dwa!
O! jakżeście wspaniali!
Weźcie odemnie tych prostaków,
Po cywilnemu czy w mundurze,
Nie są mi warci funta kłaków.
Do domu stare chłopy, nuże!
Rozmowa nasza już skończona.
Proszę — odejdźcie — ale wiedźcie o tem,
Że mowa moja nie jest jak korona
Z laurów, z róż, albo z cierni przetykanych
złotem,

Ale jest mowa moja jak szyszak złocisty,
Jak tysiąc tarcz nad głową sprawiedliwych!
Nad niemi namiot rozwijam ognisty
Z mych słów jak z mieczów żywych!

Rozmowa

Asystent uniwersytetu w Tokjo
I berliński docent
Spostrzegli, że jest pewien procent
Prawdopodobieństwa,
Że krój zakietu,
Albo timbre głosu, albo włosów nimb à la
Veroccio

Łamią przeciwieństwa losu.

Stary rozumny człowiek,
Dziekan wydziału przyrodniczego,
Z drzeniem zaczerwienionych powiek
Co wieczór czyta Heinego.
Biedny, wytarty tużurek
Obciąga jak chlamidę
I jak różańcowy sznurek
Przesuwa „Buch der Lieder“.

Chociaż poetów i uczonych
Nie łączy nic, prócz pozorów
(Dochodów ograniczonych
I najrozmaitszych honorów),
Pewien mi bliski racjonalista,

Podziemny i ciemny jak kret,
Jak pierwszorzędny artysta
Skanduje: „Pastor cum tracheret”.
Jegomość, który tłumaczy
„Continua” Jordanowskie,
Wstydy się, ale płacze,
Gdy słyszy bel canto włoskie.

Poincaré twierdzi, że drogi mleczne
Z całym ogromem gwiazd, większych od
słońca sto razy, —
Są jak gazy — a każde słońce pędzące jest
atomem

Znikomym, wpłątany w pędy wirujące...
Zgadza się, jeśli to konieczne, —
Mogę się nawet zgodzić, że to są gazy
Rozweselające.
Przyznaję mu wiele racji,
Ale znam pewną panienkę
Z ulicy króla Filipa
Spytajcie ją o fale Hertza, —
A przyzna, że pachnąca lipa,
W mojej interpretacji
Zamknięta w piosence,
Bardziej jej trafia do serca.

Pan Łukasiewicz poucza,
Że nauka to odczytywanie cyfrowej depe-
szy:

(Widać ten, co ją nadał, się śpieszył,
Bo zapomniał dodać klucza).
Moje depesze i listy
Nie wymagają tłumaczy,
Choć każdy je oczywiście
Może zrozumieć inaczej.
Wysyłam je bez adresu
Na wszystkie krańce świata:
Jak kartka wyrwana z notesu,
Ten świstek was dolata.
Nagli, jak pilna depesza,
Podjudza, jak anonimy,
Albo na niebie zawiesza,
Z którego razem schodzimy.
Chciałbym raz wytłumaczyć,
Że uczucie w wierszach nie ma monopolu,
Że i myśl można okulbaczyć,
I wjechać na sam Akropol.
Że można tak igrać myślą,
Jak igra się sentymentem,
Namiętność tak łączyć z słabością,
Jak rozum z temperamentem.

Niech się uczucie z myślą sprzymierza,
A myśl niech się w uczucie wwierca:
Jednym do głowy słowo uderza,
A innym tam, gdzie ten rym zmierza...
Do serca.

Błady wianuszek

W Pradze czeskiej w Alhambrze nocą cię wi-
działem —
Zadyszana, niedbała, biała, wsparta ciałem,
Gdyś z swym bladym kochankiem roztańczo-
na szła —

Jak piżmo wonna, czarna, pachnąca oliwko,
Muzyka cię porwała stłumioną przygrywką,
I wionęłaś wśród gwaru i wśród brzęku szkła.

O, jakżeś zeszczuplała i jakżeś wyrosła!
Na szynach rozdzwonionych gdy was miłość
niosła,

W dusznym, mrocznym wagonie podałaś mi
dłoń.

Zielonooka, wiotka, w podróżnym welonie,
Na ramieniu kochanka białe kładąc dłonie,
Przez sen cicho, wyraźnie coś mówiłaś doń.

W lubych jego objęciach skryj okrutną bla-
dość,

Konaj w smagłych ramionach i wij się i pal:
Rośnie z waszych uścisków dla mnie życia
radość,

Ruda serca się w ogniu przetapia na stal.
Niech cię porwie na strzępy ten wir kolorowy
Jak sztandary na wietrze triumfalnych ark,
Żegnaj! — gorycz u moich znalazłabyś warg,
Lub ten blady wianuszek mej wykrętej mo-
wy,
Ten wiersz najbardziej gorzki z moich wszyst-
kich skarg.

Rymy

Sądzę, że każdy mi to z panów przyzna,
Żeby inaczej poszła droga poetycka,
Gdyby naprzykład do słowa „ojczyzna“
Nie było rymu „blizna“ i „mielizna“,
Lecz, dajmy na to, „sól attycka“.

Niktby już w chęci niskiej i podstępnej
Zwyczajnej łaki nie nazwał kobiercem,
Tylko dlatego, by w strofie następnej
Móc ją zrymować z swem złamanem sercem.

Nie narażałaby się już na kpiny
I wróciła do domu dobrotliwa ksieni,
Szwędająca się wszędzie z tej jeno przyczyny,
Że się nieźle rymuje ze złotem jesieni.

Powiedzmy szczerze, czy kto z was, panowie,
Wpakowałby do wiersza chamskie słowo
„perć“,

Gdyby do „śmierci“ w polskiej mowie
Było słów więcej niżli ćwierć.

Wieleby się skróciło tych lotów bez końca,
I nie jedenby goniec drogi zaoszczędził,
Bo któżby nam o gońcach i posłańcach głądził
Gdyby ci ludzie nie byli rymami do „słońca”.
O, stare, biedne rymy, zdarte od użycia,
Wytrzepane, jak meble w dniu świątecznych
wizyt.

W blasku słońca sztucznego wchodziecie do
życia,

Aby spać znowu w kurzu jak smutny rekwizyt.

Jeszcze raz oddam duszę wpół umarłym cie-
niom,

I uśmiechy me, żale, jednodniowe łatki,
Gniewy drobne, radości każę pokoleniom
Skandować jak umarłe łacińskie wyjątki.

Wy, o rymy nieznane, musicie mi wierzyć,
Kiedy skrzyknę was znowu pod zwyczajski
znak —

Jeszcze w dali przed nami mamy tyle przeżyć,
A każde ma odrębny, w głębi śpiący smak.

Niejednego na próżno jeszcze wyślę „gońca”,
Niejedne oczarują mnie umarłe cienie,
Nim, po cezurach biegnąc, dolecę do końca,
I słowo „żyć” zrymuję ze słowem „znużenie”.

Sentymentalizm

Zawiła i niespokojna
Jest moja mowa.
Po wielkiej wojnie
Piszę te słowa.

Śpiewacy, poeci ulicy,
Czy rany już zabliznione?
Do was się zwracam, muzycy:
Gdzie wasze marsze natchnione?

Czem się wykażesz, o bando,
Przed potomnością gniwną?
Stekiem murzyńskich nut, jazz-bandem,
Stukiem drewna o drewno.

Pokazałbym wam cudem,
Jak jeszcze jeden protest,
Od Litwy pól do Wogezów
Jazz-bandy drewnianych kul,
Szczudeł, protez.

Jaki przedstawić nam towar
Do zmiany?
Opili krwią z olbrzyma rany,
Brzęczycie mdło jak komar.

Choćby w najszerszym rozdzwonione kręgu
Brzęczały skrzydła komarów,
Choćby ich miljon —
Nie wydadzą jęku!

Nie zagłuszą mi serca wyjące syreny,
Proletariatu marsze,
Ja wolę starsze
W morza głębinach płaczące syreny.

Pieśni zgłuszona tupotem,
Z czerwonych kart historii
Nad ciemnią wód srebrzystym lotem
Zabłyśnij w glorii.

Dzisiaj w moczarach błędnie połyska
Jak kwiat paproci,
Jutro swym żalem osuszy bagniska,
Wybuchnie jak Wojna Dobroci.

Do bronii! Jutro początek!
Gdy wzejdzie słońce,
Jak ukrop, jak wrzątek na wroga,
Szykujcie łyzy gorące.

Przepali świata fatalizm
Łza, — i obmyje firmamenty
I jak święty talizman ocali
Sentymentalizm.

Wróćcie, pasterze wygnani,
Dafnis i Chloe, Manon, Ninette:
Niech w rumowiskach fabrycznej sali
Kołuje i dzwoni flet.

Gdzież było miejsce w ogromnym gniewie,
Wśród huku dział w armatnim miesiącu,
Dla ciebie, Agnieszko i malutki Davy,
Dla ciebie, stary Dickensie?

Któż mógł usłyszeć w hałasach
Przez drutów, okopów linje
Płacz wzgardzonego Ruy Blasa
I Pawła i Wirginję?

Wypełniła się wielka cysterna
Łzami,
Ale je wchłonie ziemia miłosierna
Dobremi czarnemi ustami.

Przebiegnie po świeżej zieleni
Dreszcz,
I z szumem łąży na ziemię
Spadną jak deszcz.

Pod słońcą ulewą wysoką,
Dreszczem objęci,
Odetchniemy, westchniemy głęboko,
Spłakani i uśmiechnięci.

Kołysanka

Semiramidy wonne ogrody,
Pachnących pnączów gorący park —
Próżno szukałem chwili ochłody
W błękitnym cieniu strzelistych ark.

W winnicach roje puszystych liszek
Struny jedwabiu ciągną, jak tren.
W cichym poświście opadłych szyszek
Otula palmy upalny sen.

Bładych glicynij senny porporzec
Słodko się zwiesza z drapieżnych skał,
Kaktus spęczniały jak nosorożec
Wypuszcza kwiaty, jak pęki strzał.

I wibrujące w błękitnym pyle,
Paprocie senne w słonecznej mgłę
Trąciły w locie skrzydła motyle,
I ogród westchnął, zbudzony w śnie.

Czerwony motyl żałobnym cieniem
Opada cicho na leśny mech.

Owiń mi szyję białym ramieniem —
Omdlewa serce, zamiera dech.

Szum przejmujący przebiegł gęstwinę,
Wilgotny pyszczek otrząsa kret.
Noc dmucha w księżyc jak w okarynę,
Pod bładem niebem zadzwonił flet.

W miłosnych pieśni wieczornym lęku,
W srebrnym lamencie słowiczych skarg,
Brakuje jeszcze jednego dźwięku:
Cichego jęku złączonych warg.

Rzym

Jak marmur bity dłutem brzmi słowo Carrara,
Roma — jak dzwon bazylik, a amor po
włosku —

To dwie sylaby słodko ulepione z wosku;
Lecz mnie smakuje bardziej ordynarna gwara.

Podbijam świat niewdzięczną, szorstką mową,
Syn rasy stokroć starszej niż Porta Romana,
I z gorzkich ust otwartych jako rana —
Jak płacz, jak jęk, jak głąz brzmi każde moje
słowo.

I poufałą dłoń opieram o zwaliska,
Jak Dawid żądny sam mocować się z olbrzy-
mem.

Nad miasto wznoszę się pod niebo co się
błyska, —
Jak dzikiej kaczki krzyk lecącej ponad Rzy-
mem.

Colosseum

Po Colosseum błędząc przy blasku księżyca,
Nie mów, że tu najpiękniej, młodzieńko
— Ponad rudem zwaliskiem, nad ruiną wielką,
Nad gwiazdami, powietrzem śpi ma tajemnica.

Wszystkie zapachy ziemi i zapach twych włosów,
Cedrów i drzew figowych mętne aromaty
Ciężą, jak wonie lepkiej miłosnej komnaty,
Piersiom przywykłym zdawna do wichru niebiosów.

Czemże jest cyrk ten wielki? Jest podwodną
grota,
Gdzie odgrywamy sceny rozstania i żalu.

Architektura w niebo pręży się z tęsknotą
Jako czerwony krzew koralu.

Jak nad wodą powietrze, co się wgórze świeci,
I nad nami jest niebo blade uśmiechnięte,
I piękny czarny rybak, co zarzuca sieci
I spadające gwiazdy rzuca na przynętę.

Krzyż Południowy

Nieprawdą jest, że piłem w portowej szynkowni.
Kłamałem, kiedym mówił, że Bóg na mnie woła.

Nie szedłem nigdy nocą w blasku smolnych
główni,
I nie spotkałem nigdy diabła ni anioła.

Kochać długo, zbyt silnie nie jest w mojej
mocy,
Nienawidzić nie umiem — przyznaję otwar-

cie.
Nie przeplakałem nigdy jeszcze całej nocy,
Ani życia na jednej nie stawiałem karcie.

Nigdy nie miałem w ręku kielicha z goryczą,
I nikt do serca prosto mi nie wbijał noża,
A przecież troski moje tak samo się liczą
Jako kruczata wielka, święta męka boża.

Oderwany od życia, życiem zachłyśnięty,
Niebiosą wiązę z ziemią kłamliwymi słowy
I dźwigam ciężar wielki, a tak nieobjęty
Zimny, obcy, daleki, jak Krzyż Południowy.

Kłęska w Neapolu

Przez ośm lat obumarły napół
Błądziłem ulicami wciąż temi samemi, —
I nagle oto: Wenecja, Florencja i Rzym i Neapol,

I wszystkie cuda tej ziemi!

Runęły myśli czarne zwałiska,
Rozwiała się pycha wyniosła,
Jako powierzchnia wody, co pryska
Pod uderzeniem wiosła.

O, gdzie się podział smutny wędrowiec,
Co jedną wciąż błdził ulicą?
O szóstej rano biały parowiec
Serce mi podniósł z kotwicą.

Wyszlachetniony osamotnieniem,
Wyszedłem śmiało z krainy cieni,
I zabiło mnie słońce gorącym promieniem
I przykryło płachtami zieleni.

Capri

Trzy dni na Capri — o, wszak to nie dużo.
Lecz jak się długo można bawić różą?

Wyspa mi więdnie sucho jak kwiat pod nogami,
Chociaż słońce zachodzi, lecz ciągle jest
z nami.

Jak jaskółka na chwilę zanurzy się w wodę
I znów na niebie ranną zwiastuje pogodę.

Wysokie ściany wyspy z chropawej bibuły
Kloszem wonnym przykryte kwiatowej kopuły.

Jak bukiet, aby nie zwiędł, zanurzona w fali—
Bóg na nią pryska rosą ustami z opali.

Na szosie wóz turkocze, zaprzężony w osła.
Na trawie pod hotelem leżą mokre wiosła.

Sucho trzeszczy pod nogą elastyczna deska,
Łódka w słońcu jest biała, a w cieniu nie-
bieska.

Róże, osty, cygara i okręt pocztowy —
Serce mam zbite szczęściem jak plac tenisowy.

Powrót

Nie pomogą podróże, dalekie odjazdy —
Wszędzie jest jedno słońce i księżyc i gwiazdy.

Wszędzie roślinność korzeniami swemi
Szatę zieloną, barwę i woń czerpie z ziemi.

Trójżaglowych okrętów maszty trzeszczą suche:
Wszystkie morza szeleszczą, a lądy są głuche.

Gwiazdy wszędzie są zimne, a słońca są
znojne.

Trawy miękko omdlałe, sny drzew niespokojne.

I od ziemi, co stygnie, — do gwiazd, które
gasną,

Jednakowo mi wszędzie i pusto i ciasno.

Orkiestra

Piskliwy, mętny gwar podnosi się, urasta,
Brzęczą wachlarze strun, sto pytań-odpowiedzi.
Nagle jak ptaków krzyk, jak chmurna noc
pierzasta
Wznosi się groźny szum, ze skóry, z drzewa,
z miedzi.

Deski waltorni drżą i lśniąca politura,
Rozdrzana jako dysk brązową światła tęczą
Uderza w nagły płacz i pęka ciemna chmura.
Dudniący bęben zmilkł, klarnety cicho jęczą.

Jako po burzy głos cichy leśnego ptaka,
Łkająca ludzka pierś, od ziemi niskiej zdołu,
Nieśmiało wznosi się w dźwięczący głos śpie-
waka,
Ale mu dławi krtani olbrzymia dłoń żywiołu.

Poprzez potoki wód podmywające skały,
Szumiące w gąszczu traw, bijące falą gwarną

Prześwieca cichy zgrzyt, jak pierwszy błysk
nieśmiały,
Zrodzony z tarcia drzew pierwotną ręką
czarną.

I wśród ryczących fal, gdzie tysiąc drzew się
gmatawa,
Pośród splątanych ljan złamanych, zbitych
w tłoku,
Płynące kępy mchu omija zwinna tratwa,
I płynie znowu głos nad ciemnią wód potoku.

Z nad czarnych smolnych pni wyrasta w nie-
bo nagle
Strzelistej jodły maszt i baldachimy płótna.
Przeciw prądowi wód z wiatrem sprzysięgłe
żagle,
W triumfie wiodą łódź i woda płynie smutna.

Lecz wstaje nagle świst, szarpiące pękły harfy,
I huk miedzianych trąb potęgą wichru dyszy.
Napięte żagle wiatr na czarne szarpie szarfy,
Okręt zalewa toń i tonie w mrocznej ciszy.

I znowu, znowu z wód, gdzie jak rycerze-kraby
W błękitcie chińskich blach, w śmiertelnej
ciszy leżą,
Jak widmo płynie z dna okrętu kadłub słaby,
W bulgocie srebrnych kul piosenką dźwięczy
świeżą.

Negatyw

Nie patrz za mną, gdy zsunę się w wodę, jak
nurek,
I kiedy wsiąknę w ciemne mistyczne zwier-
ciadła —

Pożegnaj mnie krzykiem,
Lub jednym, jedynym
Westchnieniem żywym.

Nocą na białem niebie czarne bryły gwiazd
Nie wabią. Łukowe lampy jako luna
Oczarowały i prowadzą nas
Na plac, gdzie jarmark czarną bije luną.
W noc białą, jak twe piersi — gęste, ciemne
światło,

Sący się smugą lepką, jak skrwawiona wata,
Tam! Razem z bladą wielkogłową dziatwą
Wsiądę na Lewjatana, co w karuzeli lata. —
Pośród piany wełnistej popłynę w zaułek,
Gdzie w samym sercu podmorskiego targu,
Jak gwóźdź — wbijając berło w zgniły kiosk
z deszczulek,
Zbudzę tego, co czeka na mnie, śpiąc w le-
targu.

Cyklista malowany blaszane rzucił szyldy,
Zielonooki bankier, kupiec pierwszej gildy —
Czekają na cię, tchórz! Czemu ich unikasz?
Wybełkocz w sennych ust lenistwie,
Ty, co oczami w przyszłość wnikasz —

„Czy wróci piękny brunet?“ — „co myśli skle-
pikarz?“ —

„I kto wieczorną porą będzie w towarzystwie?“
Z jarmarku gwaru, gdzie krzyczą papugi
W tatuowanych rękach marynarzy,
Owianych mrokiem twarzy
Na trotuarach, dachach, już płynie korowód.

Obudź się! Śpisz za długo, zwał drewniane
wieko, —

Tysiąc szpilek cię kłuje, jak stunogi owad,
Zdrętwiały czarne nogi w matowych trykotach:
Wyciągnij je, wyprostuj — musisz iść daleko.
Twój portret malowany już wisi na płotach.
W bibuły fioletach, jak z dna morskiego krzaki,
Wykwita czuły kwiat siedmioraki.

Zerwij go! Zaduś nogą,

Zwiń się jak cięciwa

I skocz! A z tobą cała reszta zakochanych
Potoczy się, koziołkując i kłębiąc,
Do złotych słupów i chorągiewek porozwie-
szanych,

Gdzie malowane ptaki
W zarze atramentowych lamp rozkołysanych
Wylecą nakształt gołębic!

W sam środek morza,
W girlandy sztucznych róż,
Któreżeśmy rozpięli, —
W odbite, przekręcone dno czarnego łoża,
Gdzie nęka mnie bladość pościeli,
Uderz, wbij nóż!

Niech się roztańczą trapezy!
Arlekin śpiący i somnambulik
Zwieszą do dołu z huśtawki
Głowy ubrane w fezy i będą klaskać w dłonie. —

Niech zwarjowany kulig smaga malowane
konie,
Z ochrypłym krzykiem zamienia armaty na
ławki,

Na krzesła — mitraljezy, —
Bo wszystkie miejsca sprzedane!
Patrzcie! W zakrzepłą ranę zanurzam dłonie.

Angielskie spodnie, utyłane gruzem,
Wiedeńskie kapelusze i krawaty z Francji,
Od plam tłuste, chodzące luzem,
O cześć wam, resztki elegancji!
Za mną, topielcy nocy!
Odepchnijmy kurzu dywany puszyste,

Gdzie błyszczą gwiazda i świt blady —
Odbiję się ręką od twojej piersi parzystej
I jazda! Jak z procy!
Z drewnianej balustrady
Rozbujając noc do góry!
Rozbujając z całej siły!
I znów opadać zwolna i frunąć z piersią
pustą, —
W huśtawce tej straszliwej żeby się prze-
kręciły —
Noce pobladły, a dnie przykryły czarną
chustą.

Z pudełka z chińskiej laki
Dzień wyjmę, i bezkarne
Wysuną się majaki:
Wszystko, co białe, będzie czarne.
Nad miastem okrakiem, jak nogi pająka skła-
dane,

Rozłożę statyw,
I w szumie magnezji
Zdejmę ogromny negatyw.
W codzienny cień zmienia się dzienne chmury,
Tętniąca poetyczność — w tętent poezji,
A tuman murów — w tum ponury.

Sny wyzwolone i spokojne
Parami wyjdą z łoża kotar ---
Ostatni raz już dzień mnie otarł
Z wszystkiego, co dostojne.
Oto jest lampa, co potrafi
Tchnąć grozę w mrok mych nocy
I żółkłej fotografii
Dać kontur mocy,
I z wszystkich gestów, dni zatrzymywanych,
Niedopowiedzianych słów,
Szelestów zdławionych, zapomnianych
Snów martwych, pojedynczych chwil,
Z lotów znużonych, z setek mil
Zatrzymywania się, potknięcia,
I znów powrotów, osłabnięcia
Siłą jednego dotknięcia
Puści mnie, jak film,
Prześwietli mnie jak radość i rzuci falą
W wir świata, w objęcia obszarów, —
Gdzie w świecących dalach
Pokaże okrutną bladość wniebowzięcia!

Do drzewa

Do góry godnie wzniesion
Zielony dąb i jesion,
Gdzie wilga złota ma gniazda,

Skrywają mnie cieniście,
Gdy przez szumiące liście
Poranna przyświeca mi gwiazda,

I chłód bladego rana,
Jak woda spływa z dzbana
Do ust nachylana z błękitu,

I serce uciszone,
Nad sobą ma koronę,
Co szumi targana u szczytu.

O pieśni! Jako drzewa
Wyniosły szczyt, co śpiewa
A w ziemi ma czarne korzenie,

Tyś jest, jak dąb wysoki,
Co z głębi czerpie soki;
Krew czarną i moje cierpienie.

Wieża Babel

Już dobre słowa wszystkie
Zepsuto i zużyto,
Więc będzie ze słów pospolitych
Ten wieniec uwity,
Jak z szarych listków.

Zdarzenia wielkiej miary
Przyniosły owe dni,
Kiedy rzucono sztandary
Na grób „soldat inconnu”.
Złote lwy Persji, słońca Japonji i trójkoloro-
we z Italji,
Francuskie, rosyjskie i polskie, i gwiazdy
z drugiej półkuli,
Wszystkie szumiące chorągwie, szerniałe
w dymach batalji,
Z trzaskiem złamali, na ziemię rzucili,
popsuli.
Świat cały potem to widział odbite na
srebrnym ekranie,
Świat cały sobie naznaczył jedno ogromne
spotkanie

I gorączkową naradę, co zrobić ze swoją wol-
nością.
Na placach się wszyscy snuli, pijani i błędni
jak w snach,
W ogrodów iluminacji całując i płacząc, z ra-
dością,
Postanowili wielki, do nieba aż sięgający,
zbudować gmach.

Trzysta milionów Chińczyków i trzysta miljo-
nów Malajów,
Niosąc ciężary truchcikiem biegło.
Piasek Sahary zmieniono na cegły,
I z niego powstał fundament.
Z dna oceanu na szczyt Himalajów
Wyrosły stalowe przęsła, —
Ziemia się w biegu zatrzęsła,
I zadrżał firmament.
Stu architektów oblicza,
Jak długo potrwa, nim stanie szczyt.
Krzyczą australijskie pisma,
Że główny budowniczy,
Inżynier Thomson, jest Żyd.
Całe Tatry i Alpy i Pireneje i Apeniny

Przejeżdżają ze świstem powietrzem na żelaznych wózkach,
Na linach stalowych bloki je ciągną z głębin,
Maszynę trzyma sterem kulistym młoda do-
ktorka francuska.
Świder parowy do Kordyljerów już przywarł,
Jękiem dzwoniącym napełnia Atlantyk,
Nad którym ręce załamuje lewar
Czarny na niebie blednącem.
Pyłem pokryte okręty
Napełniły przystanie lamentem,
Jęczą portowe dragi,
Nagi szkielet rusztowań oblepiły cementem,
Parowiec świsnął,
Zawyły syreny,
Dzwonią turbiny,
Z głębin
Wybłysnął
Reflektor i oślepił bezsilny firmament.
Rosną architrawy szeregiem,
I kolumnady się wiją ślimakiem.
Nad modrych rzek brzegiem
Lasy zmieniły się w tratwy.
Tartaki je krają, jak tasak,
I portowi cieśle w Nagasaki

Robią z nich kije, deski, balustrady.
Wydźwiga się kolos wysoko,
Dojrzewa, pęka jak pąk,
Już, już dotyka niebios.
Naprawdę się kapryśne rococo
Naprasza —
Do nieba dosięgnie gotyk,
Jak bezlitosny dotyk
Rąk
Niewiernego Tomasza.
I stało się to w sześćdziesiąty szósty
Rok
Budowy, gdy na dwutysięcznej kondygnacji
Urządzony był przez trusty
Five o'clock
U. S. A. konsolidacji.
Zaczęło się to w wieczór upalny
Wśród robotników z kopalni,
I rozbijaczy kamienia,
I bladych Czechów, pracujących w giserniach,
We włoskich traktjerniach nosicieli wapna, —
Gdzie żywy Duch Boży, jak wielka kropla
oliwy,
Kapnął
I wybuchnął w postaci płomienia.

„Czyście wszyscy pomarli?” — krzyczał telefon —

„Hallo! Czy to ty John?
To mówię ja, Tom, Harry, Charli!”
Imiona, jak jęki, biegały po tłumie,
Nagie ramiona czepiały się w pasji.
„Ściszcie przekłętą hałas!

Czy mnie nikt nie rozumie?!” —

Nikt ciebie już nie rozumie i nikt ciebie już
nie usłyszy.

Napróżno chwytasz z obłędem za piersi twych
towarzyszy!

Tumult się wzmacza i sroży,
Tłum, jak wilk dziki spuszczone z obroży,
Zawył i zmilkł.

Języki im splątał Duch Boży.

„Gdzieżeś? Odezwij się” — słabo i miękko
Płakały kobiety, czepiając się nagich nóg
męskich,

A oni bełkotali coś z najwyższą męką
I odpychali ręką jak gdyby z nieba spadają-
ce klęski.

Pokazywałem ci wtedy ręce skaleczone,
Mówiłem: „Patrz, krew się toczy!”

A ty miałś usta zębami rozjaśnione
I nierozumne oczy.
Pojąłem, że słowa me nic już nie znaczą,
Gesty zawodzą i znaki.
Na niebie stada oszalałe warczą
Aeroplanów, krążących jak ptaki.
„O, stój! Bo nas tłum rozdzieli,
Przewali się między nami!”
I tłum runął —
I zamajaczyłaś mi w oddali
Białymi rękami
Ostatni raz.
Wtedy to on, główny budowniczy,
Inżynier Thomson,
Wlazł, wdarł się na trybunę
I przez tubę straszną krzyczał przerażony.
Chciał mówić do tłumu,
Ale jak ptak strącony sfrunął,
Porwał go wir bezrozumu.
Przedarł się wtedy z ulicy
Przez tłumy odmetry
Do żelaznej hali,
Górnicej kapeli,
Gdzie stali
Zwarci muzycy,

Wsparci o lśniące chłodem w mroku instru-
menty.

A fala dzika tłumu w żelazną hutę
Za nim przewala się, przenika
I goni znów.
Krzyknął: „Jeśli nie rozumieją słów,
Muzyka ich uspokoï, muzyka!”
I chwyta do dłoni batutę:
„Marsza! Rytm straszliwy
Tłum rozpędzony zatrzyma
I zawrze w klamry dojrzałe
Harmonji!”
I pękły trąby, puzony,
Ze stu instrumentów głos goni, i tony skłó-
cone

Zbiły się oszalałe
W zgiełkliwy świst kakofonji.
I wtedy już ze szczytu Wieży Babel
Zerwał się i spadł z błękitu,
Jak wąż nad miastem pasmem się wijąc do-
koła,

Elektryczny kabel,
Tracony złotą nogą Archanioła.
Runął tum, w gruz się rozwalił,
W miljon ark z czerwonej cegły,

Kurzem czerwonym się jak słup zapalił —
I małe czarne tłumy się rozbiegły.

I znów się krzątali odnowa,
I Bóg im powrócił mowę.

Ale nie wszystkich odstąpił
Przekłęty Duch Boży,
I w piersi mej wątlej
Jak lew się sroży.
Błąkam się wkrąg,
Obcy, samotny wśród ludzi stoje,
Ziemia mnie nudzi,
A nieba krąg mnie przestrasza,
I boję się własnych rąk,
Rąk
Niewiernego Tomasza.

Człowiek uderzony w nos
Widzi miljon gwiazd,
Tyle, co astronom przez teleskop.
Każdy z was niechaj dookoła miasta
Gwiazdzisty zbuduje okop
I modli się do tych gwiazd,
Jak Eklezjasta.

Jeśli jesteście bici,
Milczcie przynajmniej.
Może was to nasyci,
Co syci najmniej.
Zginęły słowa,
Ich dźwięk zawodzi,
Oto nadchodzi
Nowa epoka
Samotnych ludzi.

Zgaś elektryczność
I otwórz okno,
Na dworze jest ślicznie,
I drzewa mokną.
O, moja przyjaciółko,
Jak w gęstym złotym trunku,
Połączmy ręce wraz
W uścisku, w pocałunku
Starych, znużonych ras.
Oto jest triumf, jakiego trzeba!
Duch Boży mnie spętał
I każe gromić lud, by pamiętał,
Że ginie, kto dotknie się nieba.
Ale my łzami i śmiechem
Już wszystko wiemy,

I gniew Anatemy
W mej mowie jest furtką,
Przez którą skrycie
Kąpiemy się w błękicie
I nieba poimy oddechem.

List z podróży

Jeśli przyjdzie mi umrzeć pośród włoskich alej,
W cieniu czarnych cyprysów i cmentarnych
tui,

Odwieźcie mnie, zabierzcie jak można najdalej.
Mantua obca. Nie chcę umierać w Genui.

Nie leżeć mi w winnicach, tam niebo zbyt
czyste,

Jako cyprysu korzeń ciało w ziemię wrasta—
Oddajcie mnie pod niebo ojczyste i dżdżyste,
Zagrzebcie pod trotuar, w samym środku
miasta.

Wśród rur, drutów i zwoi elektrycznych kabli,
Wśród rojowiska szczurów niechaj znajdę leże,
Niech się kręci nade mną i wyje młyn djabli,
Niech mnie szarga i depce miljonowe zwierzę.

Jakże mi błogo myśleć, że na miejskim prochu,
Wśród ciżby, co smagała serce do krwi
batem, —

Miasto przeklęte! — spotkam się z tobą, mo-
tłochu

Niemy, triumfujący śmierci majestatem.

Białą kości przekroję tłumy fale płynne,
Jako szkielet okrętu wyschły na mieliźnie —
Dobrzy ludzie, zabierzcie mnie w strony ro-
dzinne,

Jeśli mi przyjdzie umrzeć na słodkiej obczyźnie.

Miasto umarłe

Z pustyni, gdzie pragnienia, mękę, żar cier-
piałem,

Na piaszczystych gościńcach zabłąkany sam,
O, utęsknione miasto, nagle cię ujrzałem:
Świt był i gwiazdy bladły, gdym stanął u bram.

Jak gołąb w szumie ostrych białych piór
i skrzydeł,

Radośnie wszedłem w chłodu marmurowy
mrok;

Po nocach czarnych, dusznych od żaru ma-
mideł,

Dzwoniło serce, głucho dzwonił krok.

A gdy słońce w południe z niebieskiej półkuli
Prażyło, z ust spękanych wysysając krew,
Znalazłem basen senny, gdzie lapis lazuli
Drzemało jak kamienny śpiew.

Barwy sinej jak wody nie zaczerpną dłonie,
Białych kamiennych torsów nie różowi pons—
Jakże rozpędzić w galop marmurowe konie,
Jakże całować bronz?

Kolumny i arkady znalazłem w tem mieście,
Kapitele, plafony silniejsze niż czas —
Lecz jak drzewo nie schyli się nigdy w sze-
leście

Kamień i głaz.

Przez miasto chłodu dumne, nad wszystko
bogatsze,

Przedarłem się, choć ciało tężało wśród brył—
O zachodzie na krańcu stanąłem i patrzę
Bez sił.

Rozpościera się morze jako okrzyk szczery,
W opustoszałym porcie naga masztu żerdź
Czeka, aż na niej czarne rozwinie bandery
Śmierć.

Do przyjaciela

O, nie miej do mnie żalu, jeśli cię zasmucę,
Ale oto powracam przyjacielu drogi,
Choć przyznaję — wierzyłem, że nigdy nie
wrócę
Zawróciłem tak rychło, już w połowie drogi.

Ty zostałeś samotny w kręgu smutnych myśli,
Gdy biegłem naprzód serca oddechem osta-
tnim,
I z miejsca gdzieśmy razem różną drogą
przyszli
Nie żegnałem cię nawet uściśnieniem bratnim.

Biczując serce żądzą, co w górę urasta
Skandowałem swym biegiem maratonskie mę-
stwo,
Ale w pustych ulicach umarłego miasta
Głucho brzmiał i niewdzięcznie mój okrzyk—
zwycięstwo.

Jak ty zmęczony myślą, ja biegiem zmęczony
Z pustym słowem na ustach, pokonany klęską

Gorzkie ci z mej wędrówki — wybacz — niosę
plony,
Wieniec zdobiąc ciernistym naszą przyjaźń
męską.

Niech się więc ręka twoja z moją dłonią
zgodzi,
Rytmem łagodnym, jak wyraz z wyrazem,
Aby nam było oto lżej i słodziej
Umierać razem.

Na śmierć Prezydenta Narutowicza

Na pluszowej kanapce, wśród ciekawych tłoku,
Jakże długo umierać trzeba od krwotoku.
Jest czasu aż za wiele, by dreszczem odrąży
Wstrząsnęły rzeźby zimne i wielkie obrazy
W ramach złotych spiętrzone, nieruchome

twarze,

Zachody, wschody słońca, zamglone pejzaże.
Cisza w polu — wiatr białych nie przegania

chmurek —

Boli — proszę powoli odpinać tużurek...
Czy to pachną perfumy, czy święte kadzidła?
Ktoś mówi szeptem, biegnie, schodzi

z malowidła,

Czarny krzak tu i obok, zakurzone palmy.
Czemu jest taka cisza? gdzie żałobne psalmy?

Nie płacz — widzisz, już lepiej — widzisz,
że mniej krwawi,

Może to tylko rana — jutro się poprawi...

Z białej sali szpitalnej w poranek zimowy
Wyjdę o własnej sile szczęśliwy i zdrowy;
Napewno wtedy, zamiast gwizdania ulicy,
Usłyszę jeden okrzyk radosnej stolicy.

Jak pięknie będzie jechać przez miasto
powozem...

— Okryjcie mnie futrami, lęk mnie przejął
mrozem.

Dzwoni głucho dzwon złoty, omdlały ramiona.
Czy to z rąk Salomei wypadła korona?

Pachną święte oleje, jak wonne olejki —

Czy gniewny Witold z mieczem zszedł z sali
Matejki?

Ktoś idzie ku mnie, krzyczy — widzę jak tu
zmierza;

To żołnierz — szofer wściekle laską w drzwi
uderza!

Wpuśćcie go do mnie tutaj; wśród pań
z ambasady

Niech z kijem w rękę stanie i od gniewu błądy
Niech on oczy mi zamknie. Niech się dotknie

powiek

Ręką szorstką, zwyczajny, dobry prosty
człowiek.

Rekord

Akwarelowe niebo mokrą barwi plamą
Chorągiew, którą błękit zalewa i chłonie.
Rzymskie cyfry, festony i wstęgi nad bramą:
To Madryt bije Spartę na czeskim stadjonie.

Ośmiu dumnych anglików dociera na szczyty
I z białego Evarest płyną fale Hertza.
Carpantier w czwartej rundzie pada w Jersey-
City,
Dempsey pięścią dobija się Francji do serca.

Aż wreszcie urodzony nad północnym fiordem
Norweg biały, wyrosły, jak maszt okrętowy,
Zwycięży w stu igrzyskach i stanie gotowy
Zadziwić świat największym na ziemi rekor-
dem.

Rękami, co jak skrzydła do lotu wystarczą,
Jednym rzutem przekreśli widnokrąg niebieski,
Nóg straszliwym łomotem uderzy o deski,
I do nieba dosięgnie gładkich piersi tarczą.

Jak śmietanę bić będzie śmiga białość chmu-
rek,

Aeroplany eter zatrują benzyną,
I świętą głębię morza zbrudzi, zmąci nurek.
Wóz elektryczny z świstem przeleci głębiną.

Już Saturn, jak dyskobol własny pierścień
ciska,
Mars podrzuca w futbolu swoje trzy księ-
życe.

Pięć zbudzonych wulkanów, jak pięść się za-
ciska
I ziemię, jak boksterską zrzuca rękawicę.

Lewą marsz!

przekład z W. Majakowskiego

Rozwijajcie się w marszu!
W gadaniach robimy pauzę.
Ciszej tam mówcy!
Dzisiaj
Ma głos
Towarzysz Mauzer.
Dosyć już żyliśmy w glorii
Praw, które dał Adam i Ewa:
Zajeżdżymy kobyłę historii —
Lewa!
Lewa!
Lewa!
Błękitnobluzi,
Rwijcie
Za oceany!
Zali się pancernikom na raidzie
Stępiły dzioby ze stali?
Niech się brytyjski lew pręży,
Niech ostrą koroną olśniewa —
Komuny nikt nie zwycięży!
Lewa!
Lewa!
Lewa!

Za górą klęsk błyszczą zorze,
Słoneczny kraj czeka nowy,
Za głód, za moru morze
Niech zadudni nasz krok miljonowy!
Choć najemna otacza nas banda,
Choć nas potok stalowy zalewa,
Nie zadusi Sowietów Ententa!
Lewa!
Lewa!
Lewa!
Zali wzrok orli zgaśnie?
Czyż ulegniemy w walce!?
Ciaśniej
Ściśnijcie światu na gardle
Proletariatu palce.
Naprzód pierś podaj nagą,
Niech flaga na niebo zawiewa!
Kto tam znów rusza prawą?
Lewa!
Lewa!
Lewa!

Kontrmarsz

Włodzimierzowi Majakowskiemu

Hej ty z wystającymi skuł,
Z ospowatą gębą,
Gdzie idziesz?
Zagradzam drogę!
Straciłeś tempo,
Zmień nogę.
Kto wciąż na lewo skręca,
Kręci się w kółko.
Gdzie wieszysz, rycerzu gorący,
Krasnoarmiejców pułki?
Choćbyś najbardziej miarowo
Nogą wybijał takt,
Świata nie podbijesz,
Świat nie jest piłką footballową,
Świat się podbija głową! głową! głową!
Fakt.

Ej, bestjo naga!
Zegnij kolana.
Widzisz, jak z wiatru tchem
Igra angielska flaga?

Nie sięgniesz jej, nie chwycisz,
Wysoko nade mną rozwiana
Chorągiew z brytyjskim lwem:
I am British!
Przez morze zła
Na ląd, który widać zdaleka,
Jack London
Lotne przerzuca pontony:
„Prawo białego człowieka“!
Nie wytrzymasz spojrzenia,
Gdy Kipling krzyknie: Stój!
Za mną jest całe plemię,
Goethe jest mój!

Jak pies urwany z powrozu,
Swobodą zachłyśnięty,
Wywalasz ozór.
Za mało jest ryczeć z talentem:
Trzeba mieć rozum.
Spiżowy posąg wolności
Mądremsi się kuje młotami:
Nie wyrzeźbi oblicza ludzkości dynamit.
Dorwał się większej płacy,
Dźwignął się ciężko, mozolnie.
A czy wiesz?

Są tacy,
Co byli zawsze wolni!

Moja armja nie idzie na prawo,
Ani nie idzie na lewo,
Ale, jak dym i lawa,
Tryska do nieba.
My jesteśmy złączeni
Nie cesarską purpurą,
Nie sowieckim sztandarem,
Ale chłodnym bezmiarem
Przestrzeni.
Górá! Górá! Górá!

Okulbaczyć rumaki stalowe,
Na siodła skoczymy w lot!
W tył zwrot!
Gotowe? Gotowe.
W pochód! Ty przodem pójdiesz, Sławo!
Lewą czy prawą, wszystko jedno którą.
Górá! Górá! Górá!

Sąd ostateczny

Jak w noc letnią, pod oknem — dźwięki har-
moniki,
Zatruty oddech wionie z głębin pamięci —
W małym domku, ukrytym w gąszcz ogrodu
dziki,
Nad stawem nieruchomym, srebrną misą rtęci,
Wśród trzcin, ostrych jak dzidy, obumarły
z lęku.
Dzieckiem szeptałem imię twe na znak przy-
mierza,
Słyszałem głos twój cichy w drzew skrzypią-
cym jęku,
Całowałeś me oczy błoną nietoperza.

O, strącony monarcho, pełzający w pyle!
Drzemiący w czarnym ile pustego wybrzeża!
Skrzydłata w górę pofrunęła postać:
Nikt ci już piersi nie depcze,
Już możesz powstać.
Objaw się, zestąp ku mnie,
Zejdź tłumnie z całym orszakiem:

Sam jestem w mojej izdebce.
Nie zamykajcie drzwi. Puść, Ojczel!
Już jest u proga.
Korowód dni ognistym przeciął znakiem
Gość! Jakież to gość w domu, w którym nie-
ma Boga?

* * *

Radioaparat wystukał wyrok,
Zygzak zamienił się w stuk:
Nie zatrzymasz się już, arko Noego, na górze
Ararat!

Nic z tego.
Czy słyszycie pomruki gór?
To nie ryk lwa,
To lawa.
Nie załamujcie rąk,
Niech ścichnie wrzawa:
Już ziemia jęknęła jak gong!
Zabawa! Największa na świecie zabawa!
Ulice, place, domy misterny rysunek
Ukryły w chmury kurzu ciężkie, rude,
Nad które cegła jak gołąb polata —

Panowie! Rachunek!
Zamykać budę!
Koniec świata!

Czego się boisz, mały chłopcze?
Dziewczynko, czemu płaczesz?
Skończone wszystko. O, jak dobrze!
Starcy, porzućcie pacieź!
Błękit sklepienia
To ostre i zimne narzędzie
Zniszczenia.
Próżne westchnienia,
Jutra nie będzie!
Nie płacz, Milady, że twój salon
Fruwa nad miastem
Jako balon
Nie obciążony już balastem.
Patrzaj! Irlandję za piersi
Chwyciła groza,
I na ogrody różanej Persji
Upadła wyspa Formoza.
Spienione rzeki Alaski
Złotem trysnęły w błękity,
I na Sahary piaskach
Polarna pali się zorza!

W roztańczonem powietrzu
Krażą miejskie ogrody,
Jak latawce wirują na wietrze
Chińskie strzeliste pogody.
Aeroplany w wichrowym wirze
Oddech ziemi dosięga gorący:
Poczerwiałe, skręcone spadają,
Jak liście, które żar liże.

W koronkowych mantylach, czarne, smukłe
dziewczyny
Skaczą z okien na klomby, co ruszyły się
nagle,

Kobiety jak korwety rozpinają żagle,
Morza błyszczą jak oczy pełne atropiny.
Świst wichury poderwał skorupę Europy,
I wśród złomów spękanych kołują w kopalni
Robotnicy boleśni i czarni,
Jak robactwo zalane ukropem.

Marynarzel! Porzućcie okręty!
Nikommu już nie trzeba ratowniczych łodzi!
Wierzajcie mi, stokroć jest piękniej i słodziej
Samemu się zanurzać w burzliwe odmęty,
Niż tonących ratować z powodzi!

Oto prysły czeluście więzienne,
Obląkani, skazani łamią krzyż gilotyny.
O, pójdźcie za mną, korowody senne,
Będę wam żaglem. okrętem i sterem —
Starczy mdlejący w objęciach morfiny,
Blade panny pachnące eterem!
O, serca burzliwe, spienione!
Do mnie w tej jednej godzinie!
Gdy was morze otoczy skłębione,
I gdy falą zaleje was mętą.
Jest coś, co nie ścichnie, nie zginie,
I jak dzwon rozdzwoniony w głębinie,
Przyzywać was będzie mego serca tętno.

Ej! Zbierajcie swe grzechy!
Kto ma ich więcej, temu będzie lżej:
Oto jest kielich z goryczą.
Nie będzie już żadnej pociechy,
Gdy wam powiem, że grzechy
Niespełnione się liczą!
Tobie, coś wybrał z szarej doli
Zapach krwi ostrój, mdłą gardził małmazją,
Z kolorową fantazją i z czerwonym fontaziem,
Coś handlował Europą, Australją i Azją,
Tobie będzie dziś lekko, królu metropolij!

Malutkie grzechy łamią karki,
Już utonęła łódź Charona,
Spieniona Leta w pędzie wartkim
Opada z szumem jak zasłona.

Pachnąca moja Izabel,
Strwożona sarno,
Nie wychodź za mną przed dom,
Noc jest parna.
Na ustach bielą się ręce
Jak wonna krata,
Zejdź w muślinowej sukience
W dolinę Józefata.
Fruń z zielonego balkonu
Jak obłok mglisty;
U stóp Bożego tronu
Zrozumiesz wszystko:
Chłód mego ciała,
Sny wpółumarłe,
Jęki majaczeń
Zduszone w gardle.
Zakryj rękami twarz,
Kiedy zobaczysz mą postać:
Wolałbym, żebyś tu była,
Żebyś mogła tu zostać.

Patrz, Miła:
Domów krągłe kopuły chwiejnemi ruchami
Jako głowy zmęczone chylą się w ramiona,
I z wytchnieniem ulgi wyłazi spocona
Czarna ziemia drzemiąca pod trotuarami.
Zamiera świat z ostatnim błyskiem,
Bezsilny wiatr już nic nie zrywa,
I rozkłada się ziemia, jak przed widowiskiem:
Senny, puszysty, uroczysty dywan.
Płachta wzorzysta stuleci
Stłumiła pychę,
Ogień, co pali i co burzę nieci,
Zmienił się w gwiazdy umarłe i ciche.
Ale miażdżące Boże kręgi
Nie wszystko skryły jednostajnie.
Panie Boże! Spójrz na mnie! My zwyczajni!
My się swojej nie boimy potęgi!
Poprzez długie stulecia ziemskiego wygnania
W szarym tłumie, co ginie, wypalony docna,
Czeka cię niespodzianie
Ktoś, kto ocalał
Z samego dna.

Z krzykiem splątanym biegną krokiem
Ci, co wierzyli,

I cichną w płaczu i jęku głębokim:
Naprzóżnośmy żyli!
Zejdźmy im z drogi. Oto wszyscy święci,
Opadli z ciała wyschnięci biskupi
Z lochu klasztorów, gdzie byli zamknięci,
Niosą na płaszcach zapach trupi.

Zamarli w trwodze już nie krzyczą łaski,
Ale stygmata rąk swych rozdzierają,
Woskowe świece i pasterskie łaski
Łamają, z hałasem padają infuły,
I kupą kości, fosforyczną zgrają
Piszczele spiętych w strun muskuły,
Przed boży tron padają w proch.

I utopiony w szloch,
W płaczącej sfery łkanie,
Zamarł stojący w pierwszym planie
Kleryk.
Kończy się trwoga,
Nadchodzi ostatnia chwila,
I tłum zadygotał jak listek.
Oto się już odchyła zasłona,
I zapłonął wzrok Boga,
Przed którym kona wszystko!

I kołuje, wiruje spieniona i czarna
Krew uciszona sercem, co wydzwania spokój,
I zamiera w oddechu przestrzeń planetarna—
Pokój! Pokój! Pokój!
Spływa cisza głośniejsza od burz i wichury
I lotniejsza martwota niżli wiatr co goni,
Biel zmieszanych kolorów, słodsza od purpury,
Wieko trumny zamyka najwyższa z harmonij.

Lecz pośród dusz martwych, zasłuchanych
w wyrok,

Zadrzał, zapłonął czyjś wzrok.
W kłębowisku ktoś się poruszył —
Wstał.

Postąpił krok.
Jakże wysoki jest. Jak ty, o Boże!
Pod obłoki dosięga głową,
Aż pod twój tron i twoje łóżel
Kołysząc się miarowo,
Czarny rozwija proporzec!
To on!
Już walka się zaczyna!
Przeklęci aniołowie
Schowali słowo
Zazdrośnie w piersi.

I pyszni są na nowo,
I znów są pierwsi!
Panie Boże! Oto jest nowina:
Zapamiętały w gniewie,
Zapomniałeś o mowie, o słowie,
O śpiewie!
Słowo rozgrzane w ustach do białości,
W piersi nabrzmiałej pychą,
Hukiem stu trąb i hymnem radości
Obali twoje Jerycho!
Słowo, którym tworzyłeś w dniach znoju,
Oto zwycięskie i żywe
Rozwiązuje harmonję spokoju!

Chmur mrok zły
Pęka jak blady pęk,
Gwiazd wzrok drży,
Ziemia jęczy jak gong.
Rozpłyniemy się zali w przestrzeni
Jak na ustach zamarły śpiew?
Nasz głos nieba błękit szczerwieni
I przez usta wybuchnie jak krew!
Słowa groźby i żalu i słowa miażdżące,
Słowa ciężkie i ostre, kłujące jak igłą,
Słowa twarde i miękkie, słowa dygoczące,

Rozpędzimy jak śmigło!
Tłumu okrzyki, jęki rodzących,
Jak żagle nawiniem na reje,
I gnane wichrem słów tętniących
Pod górę podjadą bobsleje!
Świata zrąb
W lotny podrzuca pęd!
W dźwięku trąb
Ostry bierzemy skręt!
Potoczymy się słowem nabrzmiałem
Pod oczy gwiazd
I w punkcie najwyższym znieruchomiałym,
Tchu nabierzemy do ostatnich jazd!
Jeśli ginąć, to ginąć boleśnie,
Jak krzyk śpiącego, zbudzonego we śnie.
Trzeba nam wielkich ram
I panoramy światów ginących,
Od śmierci żądamy wielkości!
Wszystko jedno czy od miłości,
Czy od nienawiści,
Ale umierać chcemy w objęciach gorących.

* * *

Teraz pamiętam, że byłem aniołem,
Na ziemię strącony jak w smutne więzienie,



Palcami chciałem uchwycić z mozołem
Przemijające cienie.
Po snach męczących, w mgliste poranki,
Splątany białym niepokojem,
W srebrzystej szklance
Widziałem oczy twoje,
Z kąta pokoju patrzałeś.
Na widok twojego oblicza
Tętno, co czas liczy,
Potężnieje, rośnie,
I serce się w piersi ukrywa
Zazdrośnie
Jak małe ziarnko gorczycy.

Wieczorem, kiedy niebo szarzeje u szczytu,
Ręce bolą jak skrzydła, które długo drzemia—
Chcę zerwać wszystko, co mnie łączy z zie-
mią,
Jak ptak, otwartem gardłem pożądam błękitu.

Candida

Świat dla mnie to nie bryła, ale wstęga płaska,
Którą, jak ornamentem, zdobię marzeniami,—
A życia się dotykam ostrożnie palcami,
Jak rozpalonego żelazka.

Choć mnie życie owiało swym wonnym
uśmiechem
I otoczyło swemi trzema wymiarami —
Wysokości patosem i głębi oddechem
I szerokimi jak świat ramionami —

Spotkałem je zamglonem, niewidzącem okiem,
Nocom moim samotnym odkrzyknąłem: Idę!
I odszedłem tak smutny, i tak chwiejnym
krokiem,
Jak Marchbanks, kiedy boską pożegnał Can-
didę.

Do przyjaciół Moskali

W Londynie na operę, na rosyjski balet,
Przywiał wiatr syberyjski groźnym, ciężkim
lotem.

Strach zatańczył na scenie drewnianym tupotem,
I krzyknął cienki jedwab rozdartych tualet.

Kaszirowym się szalem okryj, Karsawino,
Za kulisy uciekaj, bo czarny i bosy
Martwy tancerz cię goni i dłonią-gadziną
Zimny szron rzuca na twe wonne włosy.

Trzepotem nóg, pęcina, lekkim skokiem sarny
Próżno swe serce uskrzydla Niżyński,
Bo oto nowy w mgle londyńskiej
Zjawia się tancerz w masce czarnej.
Błady arlekin nawpół żartem
Wypędza tłumy z music-halli
I w pustej sali Covent-Garden
Nóg piruetem śpiewa o niedoli.
O, święta Rosjo, wielka Rosjo!
Synowie twoi na tułaczce!

Jeden syn został czarny, bosy
I w trudzie krwawą płacze rosą
Na swojej ziemi-matce.
Gestem pokracznym i kalekim
Przekleństwa groźne ciska,
Cień rzuca braciom swym dalekim,
Kirem okrywa widowiska.
Wyjdźmy, o wyjdźmy czempredzej z teatru!
Jak łyzy kłujące, wicher sypie szron,
I na podmuchach północnego wiatru
Słyszać mogilny dzwon.

Na groźnem niebie wieczornego miasta,
Gdy oczy podnieść wzwyż,
Na krańcach świata
Urasta,
Jak groźne emblemata,
Kogut, Drabina i Krzyż.

Jawnogrzesznico, grzesząca uparcie!
Przed tobą Chrystus pierwszą stanął, Magda-
leno!

Rozpostarłaś się dzisiaj na Europy karcie
Otwartą raną serca, spienioną gangreną.

Marynarzy, żołnierzy obłądne kohorty
Pulsem krwi szeleszczącej wylewasz na Chi-
ny,

Napróżno tchem ostatnim, rżeniem aorty
Zalewasz Indje, Persję, pola Ukrainy.

Roztopił się twój orszak sławny
Wśród świata i ludzi ogromu,
I tylko jeden syn marnotrawny
Sam został w domu.
Rodzeni bracia się wyparli,
W obcych stolicach kupczą matką,
Ale on żywy czy umarły
Sam walczy z sobą do ostatka.
Wszyscy się umówili—on jeden, zda się, nie
wiel

Plącze się, męczy i myli
W bezsilnym gniewie.
O, nie miej tyle żarliwości!
O, nie bądź taki uparty
W sięganiu dna!
Przecież można żyć prościej.
Spójrz: znaczony karty,
Fałszywe kości,
Fałszywa gra!

Życie ludzkie jest błahe. Tak szybko mijają
dni.

O, rozchyl usta zacięte i zasępione brwi,
Wyrwij się z koła wichury,
Którą rozpętał Adonaj.
Rozegnij zgięte ramiona
Do góry,
Westchnij, roześmiej się, skonaj!

A on milczący wciąż w uporze,
Sebastjan święty — sam w rozterce,
Wychudłe dłonie, jako noże,
Zanurza w serce.
O, patrzcie! Patrzcie, jakże zbladł!
Karmazyn swoich żył wypruwa
I krwią farbuje bladość szat
I rośnie, wznosi się i fruwa!
Jak słup powietrzny, w tańcu dumnym
Wiruje, niebo łącząc z ziemią,
Aż się otwarły wieka trumny,
I wstali ci, co drzemia.
Żywe z umarłym, wschód z zachodem,
Płec się z płcią miesza w wściekłym tańcu.
Nieskończonej modlitwy żarliwym pochodem,
Jako ziarenka się kręcą w święconym różańcu,

Jak biel bandaży boleśnie rozwitych,
Wije się pochód, krąg Hermafrodyty,
Aż barwy wszystkie w pędzie gasnął
Skręcony, zwarty, zbity ciasno
Korowód kręci się jak lasso,
Aż się kolory rozmaite
Zmącą i zleją w mleczne pasmo.

Wtedy to wyjdiesz, Wielki Piotrze,
Z kręgu dobrego i ciemnego,
I mocna ręka twoja otrze
Łzy Aleksego.

A on uciszy się w rozpacz
I całą trwogę swą zawią
Na pieśń rosyjską przetłumaczy
I zakołysze się unyło.

I świat splątany wielką męką
Znowu wyłoni się z wieczności,
I Nowy Bóg łagodną ręką
Oddzieli światło od ciemności.

Stare ubrania

Budzi się dzień wilgotny i mgłami zasnuty,
Chory poranek ledwo na nogach się słania.
Przypominają mi się wszystkie stare buty,
Wszystkie moje zniszczone, znoszone ubrania.

Już nie pamiętam, wiele miałem kapeluszy:
Szary, zielony, czapkę i znów szary.
Łachy tłuste i szmaty powstają jak mary,
I stopy palt podartych ciążą mi na duszy.

Zapomniane, w gazetę owinięty, pakiet,
Jak zmarnowane lata — wonią naftaliny
Mówi czasami do mnie, gdy z szafy głębiny
Wyjmę za mały, czarny, wyświechtany żakiet.

O, pierwsze moje palto na wyrost uszyte!
Niebieska czapko — którą się tobie kłaniałem!
Sukienki twoje, łzami moimi omyte,
O was, najmilsi moi, oto zapomniałem!

A przecież jutro może mój pokój zaludni
Sukienka twoja, znowu na wiosnę wyjęta,
W której fałdach pachnących, jak wrzosa
i mięta,
Ciepły oddech się czai minionych południ.

Pieśń

Jabłka, skrzypce, na stołach postawionych
sztorcem,
Wyją z nudy w mdłym sosie ochry i kobaltu,
Dziś, gdy do nieba sięga dźwięczącym pro-
porcem
Wieża Eiffel, z nad morza gwarnego asfaltu.

W paryskim hoteliku, na najwyższym piętrze,
Modnie ubrany Żydek kopiuje Picassa,
I z blaszanej konserwy, z puszek, z ananasa
Wyprowadza pędzelkiem cynobrowe wnętrze.

W zaśmieconej pracowni Rousseau siwobrody
Maluje czarne lasy olbrzymich paproci,
Gdzie wśród błota lepkiego i chłodnej wil-
goci
Leży panna z żurnalu staroświeckiej mody.

Jak ałun nazbyt ostry męską kreśli kliszę.
Kuby domów New-Yorku, jak górskie krysz-
tały,
Na obrazy i rzeźby, pisma i afisze,
W milion małych sześcianów się porozkładały.

Do pawilonów sztuki wdarł się tłum straszli-
wy,

Murzyńskiej rzeźby smutne dziwolągi.
Coraz piękniejsze są lokomotywy,
I coraz brzydsze posągi!

Ośm tysięcy białych torsów Watykanu
Kalectwem rąk poruszy chyba tłumy niecier-
pliwe,
Które chłoną co nocy z bladego ekranu
Obrazy wirujące, jako srebro żywe.

Umarła sztuko! Dawne resztki chwały
Nie wzruszą. Mniej mnie obchodzi Miliona
Utracony raj, niż pies przejechany przez
tramwaj,
Kiedy kona pocięty w kawały.

A jeśli czasem z nad pieśni minionych,
Z nad twoich tercyn wstanę, Alighieri,
To z moich oczu ogniem zapalonych
Nic nie wyczytasz więcej, niż z martwej li-
tery.

Plomienie wzruszeń skryłem pod powieką,
Komuż się z moich spowiadać miłości?
Każdy dzień teraźniejszy, jak kamienne wieko,
Zamyka serce zżarte od żałości.

Podążać w twym orszaku już nie jestem skory,
Poezjo, któraś biegła uskrzydloną nogą,
Zagłuszyły cię wartko dzwoniące motory,
Nie zdążysz za Bleriotem iść błękitną drogą!

Opuszczam ciebie dzisiaj i odtrącam śmiało,
Jak kwiat zwiędły, co stracił już swój zapach
słodki.
Świat wybudować więcej to, niż składać
zwrotki,
I słowo zmienić wreszcie w żywą krew
i ciało.

I oto mną znów wstrząsa słowo i sylaba,
Rozkoszą mnie upaja ten bluźnierczy dotyk,
O śpiewać o czemkolwiek, aż pieśń moja
słaba
Zwycięży mnie, pochłonie, jak boski narkotyk.

Oszalały od żądz, miłości niesyty,
Krwi, zagłady ostatni pragnę zawrzeć ślub,
By do oczu twych sięgnąć jeszcze raz w błę-
kity,
W bezsilnej męce u twych stóp.

Mysł

Gdy piach suchy wybrzeża wiatr w przelocie
ruszy,
Tęskne w niebo się kręcą wirujące lejki,
Tak samo, kiedy miłość nam serce poruszy,
Słowo z ust się ulatnia, jak wonne olejki.

Lecz napróżno trzepoce się wiatr mych po-
lotów,
Zwisły żagle przykute mych myśli żałobą.
Już tysiąc razy byłem do odjazdu gotów —
I zostałem, by mówić znowu sam ze sobą.

O, cóż nam broni frunąć w błękit zapomnienia,
Oderwać się jak oddech i cisnąć niebiosom,
Zamiast badać z uporem blady kontur cienia,
Serce oddając nocy zatrwożonym głosom.

Myśli! Czemu otwierasz mi oczy przemocą
Na horyzonty mgliste, których wzrok nie zmie-
rzy,
Że wstępuję na górę, pełen lęku nocą,
I ziemi śpiącej słucham, sam z wysokiej
wieży,

Czemu mnie, myśli, twoje oślepiły blaski,
I ciemny kontur ładu równo mnie zachwyca,
Gdym jest jak morze śpiące, co w pełni
księżycu
Posłusznie płynie za nim i wraca na piaski.

John Smith

Uliczny brodaty morderca,
O białych pocących się dłoniach,
Szpilką dosięga do serca
I wacha krew jak amoniak.

Stoi przy oknie i bosy
Słucha szelestu ulicy,
W lepiącej się śliskiej miednicy
Krew z ręki otrząsa i włosy.

Wąsów szczecina obwisła,
Drży mu, gdy zamarł i zbladł,
Jak stare, chińskie malowidło
Z przed sześciu tysięcy lat.

Kobiety z rysunków Larsena,
Słodka Candido Shaw'a,
Jutro on znów, jak syrena,
W mrok będzie wabić i wołać.

Dziewczęta o bladych ustach
 Żółte pogaszają abażury,
 I jak służące w ciężkich chustkach,
 Drżeć będą nocą na podwórzu.

O, wielki potężny Boże!
 Daj mi być Johnem Smith,
 Opływać dalekie morza,
 I marynarską czapkę
 Pozdrawiać różowy świt.

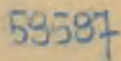
Pozwól mi w wolnej przestrzeni
 Gościnny omijać brzeg,
 Ciche odkrywać przystanie
 I delty nieznanych rzek.

Daj mi się w słońcu opalić —
 Pokażę Ci wtedy, co umiem,
 Złych będę ścigał z wiatrami po fali,
 A dobrych i śmiałych
 Częstował rumem.

SPIS RZECZY

Inwokacja	5
Godzina Poezji	6
Ślady	11
Muza	13
Porachunek	15
Gorączka	18
Koło	22
Weronika	24
Do Irlandji	26
Pióra	28
Audjencja	30
Rozmowa	35
Blady wianuszek	39
Rymy	41
Sentymentalizm	43
Kołysanka	47
Rzym	49
Colosseum	50
Krzyż Południowy	51
Kłęska w Neapolu	52

Capri	53
Powrót	55
Orkiestra	56
Negatyw	58
Do drzewa	65
Wieża Babel	66
List z podróży	76
Miasto umarłe	78
Do przyjaciela	80
Na śmierć Prezydenta Narutowicza	82
Rekord	84
Lewa	86
Kontrmarsz	88
Sąd ostateczny	91
Candida	103
Do przyjaciół Moskali	104
Stare ubrania	109
Pieśń	111
Myśl	115
John Smith	117



58 587

